

# Kilka fotografii na rosyjskim bruku

13 maja 2018

Już nie pamiętam, ile razy byłem w Moskwie 9 maja, na Dzień Zwycięstwa. Na pewno więcej niż dwadzieścia. Zaryzykowałbym tezę, że bez obecności tego dnia w Rosji czy przedtem w Związku Radzieckim) trudno jest zrozumieć, czym była, jest i będzie dla nich, obywateli ZSRR, Wielka Wojna Ojczyźniana. Teza z pewnością fałszywa, bo przecież wystarczy nieco empatii, znajomości choćby części rosyjskiej kultury i mentalności tych ludzi, żeby zrozumieć. Ale jestem do niej przywiązany.

Te pierwsze dziewiąte maje, w moskiewskim Parku Gorkiego, gdzie spotykali się tłumnie weterani tamtych strasznych dni były szczególne. Z jednej strony pełne radości, że przeżyli, że wciąż żyją, że mogą się spotkać i wspominać, tańczyć razem, pić wódkę i płakać, z drugiej, niemal siłą wyciągane osobiste opowieści o przerażających dniach wojny. O hekatombie zabitych, o krwawych bitwach, o strachu, o powszechnej śmierci, o stracie najbliższych, o bohaterstwie, często za cenę życia.

Kiedy wówczas, ponad 30 lat temu, chodziłem od grupy do grupy i naciągałem ich na szczerłość, wykorzystując moja młodość i polski akcent (Polacy mieli wtedy w ich sercach specjalne i wyjątkowe miejsce), czasem odciągali mnie na bok, żeby inni nie widzieli ich łez, kiedy mówili o tych, co tam zostali. O sobie opowiadali rzadko. Czasem, kiedy szloch ścisnął ich za gardła, nie dając precyzyjnie się słowom, odganiaли i mnie machając ręką jak od uprzykrzonej muchy, jak tamten generał, który pod Budapesztem zostawił na polu całą swoją kompanię, pozostając jedynym ocalałym. Czasem się przytulali, zanosząc płaczem, jak była sanitariuszka, wspominająca polskiego żołnierza, który skonał jej na rękach ostatnie słowa mówiąc w

obcym jej języku. Nie na tyle jednak obcym, by nie zrozumiała, że wzywał matki przed śmiercią. I wiele podobnych historii, których nie opowiem chyba już nigdy, bo kładę jej w tak osobisty bagaż wspomnień, że się nimi dzielić nie chcę.

Szły lata, a ja, w swoim zadufaniu i ignorancji, próbowałem już czasem z nimi dyskutować o 17 września 1939 r, o Powstaniu Warszawskim, wielkiej polityce, której ofiarami padały państwa małe i średnie. Patrzyli na mnie tak, jak na to zasługiwałem, czyli jak na człowieka, który niewiele rozumie i pozostaje w pętach kretyńskich stereotypów. Czasem gasili jednym argumentem, jak bodajże ów starzec w mundurze pułkownika, który o 17 września powiedział: „Te kilometry, które myśmy weszli na waszą ziemię to są dokładnie te kilometry, którym nie starczyło Niemcom, by wziąć Moskwę. Ja cię rozumiem, ale ty zrozum i nas”. Po czym odwrócił się i poszedł.

A o Powstaniu Warszawskim sam już nie chciałem gadać, kiedy zobaczyłem na stole wśród jedzenia i butelek wódki zdjęcie młodego oficera. Jego towarzysze broni zaprosili mnie do stołu, bo on, Tatar o niemożliwym do wymówienia nazwisku, zginął, jak mówili, podczas wyzwolenia Warszawy, w styczniu 1945 r. I cały czas go pamiętają, bo to dobry człowiek był. I waleczny oficer. W tej właśnie kolejności.

Pomyślałem wtedy, że jakie ja mam prawo stać się sądem i prokuratorem w jednym, by patrzeć im w oczy i żądać odpowiedzi, czemu stali po tamtej stronie i nie wystrzelili, nie poszli za Wisłę i nie zginęli jak setki tysięcy ich towarzyszy, którzy legli na polskiej ziemi.

Nie mam takiego prawa i mieć go nie chcę. W dzisiejszej, oszalałej od nienawiści do Rosji Polsce prokuratorów i katów w jednej osobie zbierze się aż nazbyt łatwo. Nie mam ochoty być wśród nich.

Tak, to było osiem lat temu, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że nie ma sensu chodzić do parku Gorkiego.

Biologia jest nieubłagana: weteranów było coraz mniej, aż wreszcie została ich garstka. I wtedy w 2011 roku w Tomsku po raz pierwszy wyszli na ulicę ludzie, którzy szli w imieniu swoich zmarłych weteranów. Nieśli ich zdjęcia, śpiewali ich pieśni, wspominali ich życie. Nazwali to marszem Nieśmiertelnego Pułku. Ten zwyczaj przyjął się w całej Rosji błyskawicznie. 9 Maja ulice zapełniają się milionami potomków żołnierzy Armii Czerwonej. W samej Rosji w tym roku było ich 10 milionów. Ale nie tylko tam. Nie zważając na sprzeciw faszystowskich organizacji świętował w ten sposób ukraiński Kijów, kirgiski Biszkek, azerskie Baku, tadżyckie Duszanbe, uzbecki Taszkent, mołdawski Kiszyniów. Wychodzili na ulice ludzie w Europie, Berlinie i Paryżu, nawet w krajach bałtyckich.

9 Maja 2018 roku na ulicach rosyjskiej stolicy było, jak wyliczyli obserwatorzy, ponad milion ludzi. Tyle samo w Petersburgu. Prawda, charakter Nieśmiertelnego Pułku nieco się zmienił w ostatnich latach. Jeżeli parę lat temu to był marsz ludzi połączonych wzruszeniem o poległych i zmarłych i nostalgiczną dumą ze zwycięstwa w 1945 roku, to ostatnio, da się wyczuć jeszcze coś. To swego rodzaju poczucie, bo ja wiem, godności, poczucia własnej wartości.

Tak, bez wątpienia ostatnie wydarzenia na Bliskim Wschodzie, wzrost roli Rosji w świecie dały im to coś. Ale poza defiladą wojskową, na której zaprezentowano najnowocześniejsze uzbrojenie, sądzę, że marsz miliona cywilów jest bodaj czy nie ważniejszy. Idę z nimi od połowy ulicy Twerskiej i próbuję pytać otaczających mnie ludzi o losy tych, których zdjęcia pieczołowicie oprawione i ozdobione niosą ze sobą. W zamian dostaję tyle historii, dramatycznych, tragicznych i wesołych, że z trudem je mogę unieść emocjonalnie. Częsta odpowiedź: „Zginał, ale nie wiem gdzie jest pochowany”, „uznany za zaginionego”, „pochowany zbiorowej mogile...”, „zginał podczas pierwszej bitwy, „poległ gdzieś w Polsce” i mnóstwo podobnych. W zamian chcą historii mojego ojca, którego zdjęcie niosę ze

sobą. Tu jednak jest trudniej. Odpowiadam zazwyczaj, że to za skomplikowane na krótką odpowiedź, więc zostawiają mnie w spokoju, kontentując się odpowiedzią, że jako polski partyzant walczył z Niemcami.

Jeden jednak nie daje mi się łatwo wykręcić, bierze za rękę, siadamy na krawężniku i chce całej historii.

– U nas wszystko jest skomplikowane – mówi – a ja chcę wiedzieć czemu przyjechałeś i z kim.

Opowiadam więc, że nie mam płynnej narracji, mam tylko oddzielne wojenne epizody mojego ojca, jak rozrzucone fotografie.

– Mów – kiwa głową – ja zrozumiem.

To przywołuję pierwszą fotografię, kiedy jako młody chłopak razem ze swoim ojcem stoi przed ich domem na wsi i z nienawiścią w sercu obserwuje idących przez ich poleską wieś żołnierzy Czerwonej Armii. Było to 17 września 1939 roku, może kilka dni później. Nienawidził ich z całego serca.

Druga: kiedy z ojcem ucieka do lasu, bo NKWD szuka jego ojca, wiejskiego nauczyciela, po domach. To był wrzesień 1939 r. Słusznie uciekali, bo raczej nie na filiżankę herbaty NKWD chciało zaprosić polskiego nauczyciela.

Trzecia: jest 22 czerwca 1941 roku, może trochę później. Przez szosę w ich wsi ciągnie rzeka śmiertelnie przerażonych ludzi, którzy, jak kto stał, z dobytkiem lub bez, jak najdalej uciekają od niemieckich wojsk, które zaatakowały Związek Radziecki. I nagle przez tę rzekę, płynącą na wschód, byle dalej od wojny, wdziera się jakiś dysonans. To idzie drużyna siedmiu albo dziewięciu czerwonoarmistów, z przestarzałymi karabinami Mosina, w wystrzępionych na dole szynelach. Prowadzi ich młodziutki lejtnant. Ojciec zapamiętał tylko na końcu małego żołnierzyka o skośnych oczach, może Kazacha, może Uzbeka, który z kamienną twarzą palcem sprawdzał ostrość

swojego bagnetu. I poszli. I nikt ich więcej oczywiście nie zobaczył, bo szli na pewną śmierć. Wtedy mój dziad powiedział do mojego ojca, że Niemcy przegrają tę wojnę. I nie zmienił zdania nawet wtedy, kiedy do ich wsi wjechały niemieckie czołgi, a na nich przyjechali wysocy, świetnie wyekwipowani żołnierze, pachnący wodą kolońską i bardzo pewni siebie.

Czwarta: kiedy w 1944 roku ich oddział AK został rozбитý w potyczce z Niemcami, mój ojciec z bronią w ręku postanowił przedostać się przez front do domu. Głupi, naiwny 16 latek. Oczywiście został złapany przez frontowy oddział radziecki. Tu żartów nie było – na tyłach frontu pęta się jakiś człowiek z bronią, po cywilnemu, na pytania nie odpowiada. Według regulaminu trzeba by go przekazać patrolowi SMIERZ, owianej niedobrą sławą formacji kontrwywiadowczej. Albo samemu załatwić sprawę. I w jednym, i w drugim wypadku perspektywy dla ojca rysowały się niewesołe. A jednak frontowi żołnierze zrobili inaczej. Najpierw próbowali odebrać mu broń, ale on niemądrze naiwny nastolatek krzyczał, że jest polskim żołnierzem i broni nie odda. To zostawili już tę broń, dali jeść i pić. I wódki dali. I kiedy zmożony alkoholem usnął, odebrali mu karabin, przejawiając niesłychaną delikatność, której w tamtej wojnie nie było w nadmiarze, albo i wcale. Ojciec opowiadał mi, że obudził go jakiś starszyna, albo żołnierz, gładząc go po głowie i mówiąc, żeby wstawał bo już noc bliska. Potem przeprowadził go przez linię frontu, naruszając wszelkie regulaminy, pokazał drogę do wsi i powiedział „Idi malczuk, k mamie, ty użé nawojowałasja” („Idź, chłopcze, do matki, ty już się nawojowałeś”). Prawdopodobnie uratowali mu wtedy życie.

Piąta: kiedy po wojnie ojciec stanął po stronie nowej władzy, dostał niedługo po tym anonim, który do dziś przechowuję w rodzinnych dokumentach. Wyrok śmierci od tych, co zostali w lesie. Za współpracę z komunistami.

I tak opowiadałem to mojemu rozmówcy, łykając w pośpiechu słowa, bo nie chciałem go nudzić. Kiedy skończyłem, dotknął

dłonią fotografii mojego ojca i powiedział tylko: „dobrze, że tu razem przyjechaliście”.

A snując tę opowieść w gruncie rzeczy chciałem, by zrozumiał, że nie ma i nie bywa historii czarno białej. Są tylko różne odcienie jej szarości. Naszej, polsko-rosyjskiej szczególnie. Ale on to chyba pojął bez mojego komentarza.

Coś jednak zostało Rosjanom z tej dawnej sympatii do Polaków, postrzeganych jako sojusznicy w największym zwycięstwie nad faszyzmem. To było widać, gdy popychali swoje dzieci, by dawali kwiaty żołnierzom w polskich mundurach ze Związku Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego, którzy przyjechali tu z nami, kiedy młodzi kursanci oddawali im wojskowe honory, kiedy ściskali im ręce.

Jest idiotycznym paradoksem, że trzeba było im pojechać ponad 1000 kilometrów do obcego kraju, by tutaj nie słyszeć, że są zdrajcami albo potomkami zdrajców lecz, że niosą część wielkiego, naszego wspólnego zwycięstwa.

Autorstwo: Maciej Wiśniowski

Źródło: [Strajk.eu](http://Strajk.eu)